



czechowicz

ly | z
blyskra
wicy

²
2 ~~w~~ błyskawicy

W. Biskupski

MAJ 1900
BIBLIOTEKA
M. J. BISKUPSKI
W. BISKUPSKI

Nie wypożyczaj się do domu

józef czechowicz

²
W **błyskawicy**

1934

warszawa

nakładem miesięcznika „droga”

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



4313

inicjał w błyskawicy

byłem czem jesteś
jestem czem będziesz
ty

z dolin suteryn placów rzek piekarń
młynów okrętów spojrzeń hut mgły
z barów rozkwitłych witek i nieb
tak sennym zdrojem na ręce moje
ściekał
szept

depcą tygodnie po łózkach stołach
muska muzyka kwiatami skroń
niepokój dymi wołam twe imię
wołam
bądź

autoportret

stanąłem na ziemi w lublinie
tu mnie skrzydłem uderzyła trwoga
matko dobra
na deszcz mnie małego tęsknego wynieś
za miasto tam siano pachnie w stogach

ze snów dzieciństwa mnie wydarł
z nudów książki szkolnej
serdeczny jan wydra
i brat w mundurze
taki duży
piłsudskiego żołnierz

tak tak to pokolei
tupały dni lata nadzieje
aż zaczęły i mnie dudnić armaty

litwa raz pierwszy
ciekła przez marszów smugi jak przez palce
przeciekła z frontu do wierszy
wiersze o mnie walczą

i znów litwa jeziornej jesieni
chora borów na wzgórzach mosiądzem

wody pod łodzią rumieniec
naprzemian z mową białoruską
lśnił na wybrzeży wstędze
we wstędze ręki mej pluskał

wołyń
jak tam kipiałem
wesoły
ciężko i gęsto rosnąc
w miasteczku o cerkwie białe
grzmiała moja majowa wiosna

w warszawie już jasne witryny
smutek zasłonił przedemną
paryż ocean widziałem przez dym siny
także laurowo ciemno

znów ziemia lublin pusty
jak czerwone skały bretanji
serce w pół drogi nie ustaj
dalej
za nic

iliada tętni

pamięci stanisława wyspiańskiego

zamknięte niebo źrenic
dłonie bezwładne bezradne jak dzieci w grubej ciemności
nieskończoność to szklistej jesieni
czy jesień gorąca nieskończoności

tylko w uszach zmarłego płaty huku
w złotych rzutach wybucha głos
iliada po bruku chmur łuku
dudni tętni wlecze promienny a ciężki swój włos

jutrzenka w płaszczu podobnym do wodotrysku
skacze z rumianej głębin w blask
a nisko
nocy ostatnia godzina w bani błękitu i gwiazd
schodzi pod wodę

głowy okute runem splotów
czarne smoliste oczy
ucięte siłą ruchy ostrych dłoni bark
wznoszą się krzyczą naprzeciw strzelistych lotów
nagiego torsu śpiewaka zgiętego pod wagą harf

których stworzył smagłych i śmigłych
biegną brzęcząc tarczami o tarcze miedzią
zwyciężają i giną
a jest dzień
włócznie od krwi nieostygłe
ciała pachnące bitwą młodej chwały zapowiedzią
nad rzeką wśród dymu płyną
w kraczący cień

achilles ma oczy blade bardzo
otwarte niebo źrenice
w mokre od rosy włosy zanurza swe palce słońce i żal
i jemu tętnią konie tłum tratujące z pogardą
choć wielkie oblicze matki prawdziwie patrzy z fal

apollo bijący strzałami
drapieżny na obłoku
apollo odziany zorzą i gniewem co się pod sercem mełł
twój pocisk wdarł się w pierś jesiennej nieskończoności
utkwiał po bełt

dlatego w ciszy źrenice
w nieskończoności jesiennej dłonie
ale tętnią po chmurach i uszach konnice
iliady miedzianej konie

nuty na dzwony

[4 pios. n. 2. Nonside]

cyganka dzwon spódnicy
dzwon cyganka smagły przegub
śniadoliccy
rozkwit południowych brzegów

choinek dzwony wzdłuż toru
o wagon biją jak puls
złotolicego wieczoru
wyglądam na podłogach pół

pagórki wonne pagórki dzwonne
po widnokrażach lubią się włóczyć
przystają tu i tam pokłonem
leżącym wiolinowym kluczem

dlaczego dzwonem są te siwe oczy
w księżycu wypełzłe
dlaczego broczy
płomień bolesny
na baranków babioletnią wełnę
o dzwony dwony dzwon monotony
wszędzie jesteś dzwonie rzeczy zdań
dysonansem cienia natchniony
stań

bo cyganek dzwon spódnicy w choinach
bo pagórki wieczorem śniade oczu siwy staw
sen w mieście przypomina
ale naprawdę czas już wstać
płynąć po falach pracach godzinach
wplaw

dom świętego kazimierza

spokojnie miękko świeci chwila bez godziny
twarz opada nad książką rosa może granat
widzę zawsze samotny łuskę wód w złocie gliny
bór iskrzy się sosnami patrz gwiazda źródłana
gwiazda źródłana innych

o wszystkie mosty paryża serce się tłukło tłukło
brooklyn przydeptał ręce spływały pasma krwi
notre dame we snach dygotała zbliżała twarz wypukłą
krzyknąć polska zbudzić się powieki smutne odwinąć
mógł sen lat wielu minąć ten także musi minąć
zamknięte drzwi
drzwi

poranek płoty naprzeciw szyn kolejowych płatowisko
dzwon gasnący z kościoła wśród nawałnicy drzew
zakonnice śpiew
płacz dzieci chyba już wszystko

nie można chwiać się jak tamta sosna pod gwiazdą

palce na piórze zwinięte cierpko cierpiąco
grają niby na flecie naszą syberję nasz dom
gonią przed oczy śniadą rolę naszych gorącość

kraju bliski tak bliski że całujesz
setką ludzi ty chodzisz od skroni do skroni
bocianich gniazd żałujesz
i chleba kruszyny nie ronisz
kraju

fabryki ciepło ryczą do pracy łzę płoszą zaranną
nie można chwiać się jak sosna pod gwiazdą źródlaną

naród czeka i nie wie
stoi w adama głosie
sypia w juljusza śpiewie

przerwa przeczuwa finał
ubogim karawanem
za miasto do montmorency
wsuwa się trumna w ulicy cień od liści pstry
w deskach czemu czemu nie są z sosny
palec srebrnym pierścionkiem chudy i żałosny
uderza w sęki na wybojach
jedyna zbroja

a miasto jeszcze mosty tętnią
przecucie chłodne jak dół wskazuje dłonią tę drogę
na wspólnej bratniej mogile wieńców nie będzie nie
[zwiądną
z bogiem prochu wielkości z bogiem

południe przechodzi tędy śpieszy się na zachód
zapominajcie okna o kadzidlany zapachu

on jest wszystkim i niczem trzepece lekki gołąb
stąpa ciężko po ziemi przeobrażalny jak blask
cięży progom zydłom i stołom

on gdy szyby tej celi zasłania napłask
wielkie oblicze
wierszom daje imiona z kształtu trudu wyliczeń
smugami tęczowemi wiją się zwitki papieru
z niebieska smutne łaskawe lecz gorące
parzą i palą czoło jak bryzgi eteru

wychodzą niespodziewane strofy
wołają podnosząc dłonie
chaosu dosyć
linja koło koniec

zrywają się
pamiętasz konie
na antycznym łuku wspinające się prychające brązem
spadają
milczy bruk
także bez wieńców i wstąg
leżą na kamieniach wkrąg
gruzy piorunami rozbite

myśli ładu i spękanych rąk
korabiami na falach błękitnych kartek
jakże daleko stąd
jak daleko od lat 80-tych
są źrenice na paryż otwarte

bywa że pośród czadu czarnych lokomotyw
gdy ludzie chcą ułożyć linję szyn bardzo prosto

serafin schodzi z chmury z matowej poźłoty
pomagać dłoniom pierwszym aniołowym siostrom
pochyla się i blaknie to wola to i mus
a gdy prostował się nad stałą
rósł
kolorem się zapalał

pisząc na stołku w słońcu które ciosa izbę
ustaną palce także siostry serafinów
palce rozprute marzeniem ociekające przez liczbę
ku dołom rozkopanym ku rudawym glinom
linją inną

ach patrz duch młot upuścił na szyny i szpały
duch w skrzydłach jęczy znagła taje w atmosferze
przy dzwonie rękopisy polską obsiewały
kto anioła wyzwolił z obłoku sam nie żył

spokojnie miętko świeci chwila bez godziny
ostrzą się na kamieniu zórz lotki jaskółkom
bramo przytułku okna przytułku
tej nocy łuski sekwany zabrząkną
norwid
brzęk wszerek niemieckiej krainy
do wisły doleci
a tam struny w fortepianach pękną

śnica i śniegowica

wczoraj małe podwórko zbierało w garść zamieć
alarm szyb nie ustawał czułem smutek
dom z przeciwka sztachety umiem na pamięć
chłodne barwy na śniegu porastały brudem

znów lampa gaśnie znów
skroń spadająca w poduszkę
dotyka płótna
nici tkane nakrzyż są kratą snów
za nią rozplywa się ciemność smutna
w przejrzałą sagi gruszkę

brnie przez nurt nocy śnica
noc złotemi rękoma odgarnia i świat
patrząca z okien księżycem
rozwinęła się jasnością w kwiat

łopocą cieniutkie krażki
snują się formy spłaszczone
wgórze i wdół
karty olbrzymiej książki
przerzuca wiatr z pól

za szklanym wysmugiem sań
wirują smukli i wiotcy

w grzywach śniegowych włosów
śniegowi chłopcy

śnica i śniegowica

zasypiać

eros i psyche

na morzach nocy odpływ szumi pianą
jak w szkło w pustkę srebrnąwą przenika poranek
chce wydobyć z topieli dom mój miasto wzgórze
słaby i bardzo szary próżno skrzydła trudzi
mimo że świt z mórz nocy świat się nie wynurza

z zorzy bez horyzontu głosy dwojga ludzi

słowa toczcie się do niej
powiedzcie znowu
serce myśl
miłuję

wracajcie jego słowa wonne
szepnijcie mu ode mnie to samo
miłuję

jedno to jest od wieków
głód zagłada i ty
jedno to jest od wieków
głód zagłada i ty

wiatr wieje z siwej nicości
świt nieznany ma zimny oddech
aleś ty jak woda rzeźwiąca
a my razem jak miech i dłoń

płacę
miłość smutek wspólne to drzewo
jak chmura i grzmot
pod ręką czuję twe serce
smuci się równie

oczy ci łzami zaszyły
wargi drżą tak skrzydła złamane trzepocą
to ból nie smutek

nie myśl
bo może dlatego płacę
żeś nie widział nigdy moich łez

nie słuchaj serca
bo może gonilem ku tobie z prędkości miłowania
zmęczyło się

zapomnij o przeszłych i przyszłych
opuść błyskawice szalone
cóż że gwiazdę na której się unosimy
niebo uroni wkrótce

zapomnienie to ty
ty jesteś przy mnie
więc nie czeka mnie nic i nie żegna przede mną ni za mną
ty wieczność

głębiej szerzej
niż sądzisz

jesteś z przed sił
które czas wydarły z łona bogów
mocna

miłuję
miłuję

na morzach nocy odpływ szumi pianą
jak w szkło w pustkę srebrnąwą przenika poranek
szarość stoi na ładach beznadziejną ścianą
ziemia drży chce otrząsnąć się z tej tępej krzywdy
pocoś słuchał człowieka
rozmowa dwojga zgasła w konstelacjach sekund
mogłoby nie być jej nigdy

śpiewny pocałunek

o śpiew mój czochra suchą grzywę koń
żórawie strzelają ciemne race
za śpiewem wrywa się z betonów klon
chce iść
a tylko kruche skrzydła gubi i liść
skrzydła którymi bawią się blade i rumiane dzieci

skowronek trąca strunę
żórawie skowronki żórawie skowronki
a jeszcze przecież
okłoki białorune
sypią się na staw na łąki
na rano
i namiot gładkich ramion

miłość

śpiew mój sam się lekko jak wstążka wysrebrnia
ze mnie skowronków klonów konia obłoków
światło niebios światło pieśni przebrną
dno dnia zasłane pniami promieni sekund rosa
śpiew mój ciało śpiewało
melodję niosąc
malowaną
na kamienisty załom
bryzgami piamą

o chabrowe oczy nie dbam
chabrowe oczy miał brat
ale słodyczą krzepką napełnij
łodygę ust jedwab
zamilknę jak złoty kwiat
nieśmiertelnik

już już po pieśni chwyconej na pocałunku smycz

mały mit

zgasł wieczór i obłoków aluminium
w oknie twarz unieś
ostatnie to linje
giną w czarnych jedwabi łunie
z mroków
udręki posuch
głos idzie żalną steczką
w kołysce kroków
tego głosu
uśnij syneczku syneczku

świergocą miotacze gwiazd
aż cienko szyba się odzywa
dusi powolnie jak gaz
kołysanka nieprawdziwa
ale
cieknie z pogańskich parowów
parna osłoda nocy
znowu
tyle kochanej niemocy
syneczku

zasypią cię czarne róże
sen pod ciało podłoży się płomykiem
sierpem
a za sierpem wiosna zasadzka

zasypano godziny cacka
niepamiętania kurzem
syneczku syneczku
sobie nucę
siebie smucę

ciebie
nigdy nie było

h y m n

szumiąca
chorągwi czarnych armją
łopotem ogni
śpiewem
chwytasz znienacka za gardło
serce roztrącasz
zimnym zalewem

żyjemy bładzimy
kołują na zegarach godziny
za nikogo chyba
płacze późną jesienią
szyba
do kogo śmieje się maj z wierzbiny
mówiący słowo kwiatowe
wieczornym ceniom

kiedy ptak z nad bystrzycy ulatuje wzwyż
ziemia cała spada ciężką kroplą
ścieżki pokrywa zieloność
drogi się kładą nakrzyż

woda ucicha za groblą
biegną do swoich wewnątrz puszyste knieje
i malejące kształty domostw



ty jedna olbrzymiejesz

złoty na czole nocy
nabrzmiwa znak twej mocy
żyła piorunu
potężnymi stopami wychodzi z mroku
drżeniem napełniający
ciemną zatoką
falujący
grom

wielbi cię siła człowieczej gliny
śmierci
winna bez winy

ginąc na lądach
w powietrzu płonąc
jak zorze
niespodziewane
przywaleni w kopalniach gruzu kolanem
śpiewamy
głodem żelazem wybuchami
ogniem i gazem
tobie grożąca
tobie nieunikniona
królowo nocnego słońca
nienasycona

polacy

więc najpierw blaski pną się po domach
wyżej i wyżej i gasną na rosie okien
warszawa wisła w układzie zodiacalnym nieomal
bo widzę wodnika pannę ryby

wieczór niweluje zieleń i purpurę
wchodzi po schodach wyżyn na niebo krok za krokiem
otrząsa się w zenicie zatrzymuje rdzawe obłoki
ciemno
jakgdyby
aksamitu fałdy urosły w całą górę

wieczór codzienna daremna
forma snntez

wsparci wzrokiem o rzekę o kratowany most
dajemy się ogarniać muzyce horyzontu
błyski w wodzie chodzą gwintem
gwintem spływa hałas uliczny
rozplusk mokry klaszcze dłońmi czarnymi o ponton

rejestrując zdarzenia milczmy
bowiem pod światła strażą sypią się perły uroku
pod światła strażą błogo leją się wieczór i lato

wiatr żarliwy radośnie parska
zginęły w drzew zadymce genjusze mroku
jest tak jakby nie grzmiała granica zamorska
jakby nigdy przez falę nie stąpił skrzydlaty tanatos

przypomnij
przypomnij przypomnij
za miastem sprężona droga
przestrzeń mdli na niej w okrytych pyłem stopach
rozpostarły się szerokie rozłogi
zły ugór pod noc podsuwa się bezdomnie
o uwierzyć że to ona
obmyta w zimnych potopach
jak ranni

w syntez formie którą jest wieczór
utkwiał po rękojeść głos
jego stal drży jego smukłość wyrывa się z porządku rzeczy

we mnie to czy w nas czy za mną
ten gniew bez żalu
czyś to ty ojczyzno serce los
czyś to ty słoneczna jeruzalem

złe dwie minuty

**słup ognisty wiotczał karminem tylko siał
na tafle dnia i monstra nocy
wicher upalny w oczy wiał
naciągał struny
złocił oczy**

**tonący tabun rzy
a moczar jak moczar nie
bulgoce słyszę śmiercią klaszcze rudawa topiel
odwróć się świecie poręb globie rżysk
nazbyt ubogi żłobie**

straszno było

**na drugiej stronie i tu złowrogi szept
niepokój surowy drży zamiecie starcze wstają
drzewa idą na siebie scepter uderza w scepter
ciemność na ciemność wzajem**

**przepadaj gasną słupy przepadaj morze rdzy
falami strzela w czas horyzonty w otchłań przelewa
podniosę się ogromny szklany zły
urosnę na cały mrok
oczy złocone oczy ponad chaosem mam**

jestem junak gniewu

dzieciństwo

da ja mała pasturecka
da strachom sie wszystkiego
da nie sułka jasjecka
mego najmilejsego

śpiewała daleko gdzieś
w słonecznikowych słońcach zagubiona
wieś
były prace polne czyjeś
len się na kądziałach wije
nie wiadomo jak stały chaty
nie wiadomo dokąd szły drogi
pamiętasz tylko sęk słońcem żywicą bogaty
króliki pod progiem

może był papierowych różyczek wstąg
nad ciemnym obrazkiem pokos
może był z okien jak z łaskawych rąk
miesięcznego blask potoku
nie wiadomo jak owsy szumiały kąkolom
nie wiadomo

niskie ule pod słomą
zgrzane lato nad rzeką
pachnące pachy pacholał
i ta śpiewka

da ja mała pasturecka
da strachom sie wszystkiego
da nie sułka jasiacka
mego najmilejszego

preludjum

1

o świecie wybuchły ptaki z mosiężnych ról
smukła kobieta jasność przyniosła na głowie

2

dzwony nienasycone kołyski muzyczne
wspominać zapominać wspominać

3

powiewie różowy jak twarz dziecka
płomyku podcinający niewysoką trawę
ciemnym kwiatem makowym skinę
nieruchomy zapach uderzy mnie i zginę

4

jeleń stoi u źródła struga szeptem ave

provincia noc

growing/1000

provincia noc

1

ze wzgórz promieniejące i zielone za dnia
w zmierzchu piękno każmierza zbiera w wonny nadmiar

żarzą się gwiazdy sypią broczą
w gwiazdach wygony baszta mlecznej drogi nurt
miasteczko ma okna z bursztynu
i tak ukazuje się oczom
zawieszone u gór

widnokraż z ucichłym zamkiem
i jeszcze łysicą trzykrzyską
oddycha bardzo blisko
jakby rękę położył na klamkę
nie otwierając drzwi

nie otwieraj innego raję

dość mi
że drugi mleczny szlak
także gwiazdzisty
w dolinie spoczywa płowej
gdzie pod wieczoru zapachem czystym
wisła ogromna mając ramiona założone pod głowę
leży nawznak
śpi

2

miasto jabłonkowe dobranoc

pył w dolinach opada
most u rzeki przystanął
gada

w zapachu owsów pszenic
po dachach niskich kamienic
wesoło
po ścieżkach po niwach
toczy się wkoło
pełnia szczęśliwa

za jabłonkowym wieńcem
kościół podnosi wieżyce
wspina się białem żrebięciem
w niepokoju
że nie może się srebrem nasycić
księżycowego wodopaju

to nie
ciemność cię muśnie
rzęsą malowaną
w kolory pawie
i uśniesz

dobranoc krasnystawie
dobranoc

3

alei bardzo szerokich ciemnozielony bukiet
i jak muzyczny motyw
przelatujący łukiem
nocny motyl

36

drzewa wielkie na niebie
rzeka wielka na ziemi
i most daleko sięgający ręką
do gwiazd prawie
i gwiazdy oczyma dobreimi
nad pałacem mrugające prędko

o wspomnienie pachnące wodą
przychodź

drzewa wielkie wy umiecie młodo
oddychać
szumiąc nad trawą
dalom
wzgórzom falom
puławom

4

kamienie kamienice
ściany ciemne pochyłe
księżyc po stromym dachu toczy się jest nisko
zaczekaj zaczekajmy chwilę
jak perła
upadnie w rynku lubelskiego miskę
miska zabrzęknie

w płowej nocy
po kątach nisz głębokich
po bram futrynach i okien
załamany
bez mocy
cień fijołkowy uklęknie

gwiazdy żółte które lipcowy żar ściał
lecą kurzawą lecą
firmament w złote smugi marszczą
za trybunałem
na ślepych szybach świecą
cichym wystrzałem

noc letnia czeka cierpliwie
czy księżyc spłynie zabrząknię
czy zejdzie ulicą grodzką wdół
on się srebrliwie rozplywa
w rosie przedświtu w aromacie ziół

jest pięknie

nota biobibliograficzna

józef czechowicz urodził się 12 marca 1903 roku w lublinie
w roku 1917 ukończył szkołę powszechną w temże mieście
a w cztery lata później seminarjum nauczycielskie
w roku 1925 ukończył wyższy kurs humanistyczny nauczy-
cielski przy uniwersytecie lubelskim

w latach 1927/1929 studjował w warszawie na instytucie
pedagogiki specjalnej

pierwszy zbiorek wierszy czechowicza ukazał się nakładem
biblioteki reflektora pod tytułem kamień w lublinie w roku
1927

drugi zbiorek dzień jak codzień wydała firma nakładowa
ferdynanda hoesicka w warszawie w roku 1930 trzecią
książkę balladę z tamtej strony wydało wydawnictwo droga
również w warszawie w roku 1932

wiersz prowincja noc dedykuję pani franciszce arnsztajnowej
wiersz nuta na dzwony zechce przyjąć pani marja maćkow-
ska

wiersz śpiewny pocałunek zechce przyjąć pan bolesław mi-
ciński

wiersz mały mit zechce przyjąć pan jan samuel miklaszewski

wiersz polacy zechce przyjąć pan adam skwarczyński

wiersz eros i psyche zechce przyjąć pan stanisław ignacy
witkiewicz

książkę ofiaruję młodości

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

spis rzeczy

inicjał
autoportret
iliada tętni
nuta na dzwony
dom świętego kazimierza
śniega i śniegowica
eros i psyche
śpiewny pocałunek
mały mit
hymn
polacy
dwie złe minuty
dzieciństwo
prowincja noc

nota biobibliograficzna
ofiarowania



F
4313